

MATERIAŁ DO I ETAPU KONKURSU O OSOBIE KS. JANA CZUBY

PODSTAWOWY ŻYCIORYS KS. JANA CZUBY

Droga powołania

Ksiądz Jan Czuba pochodzi z parafii Słotowa. Jego rodzicami byli Stanisław Czuba i Maria Paprocka. Urodził się w dniu 5 czerwca 1959 roku w Pilźnie, gdzie też 21 czerwca został ochrzczony w kościele parafialnym pw. św. Jana Chrzciciela przez proboszcza ks. J. Midurę. Słotowa nie była jeszcze wtedy samodzielną parafią. Wychowywał się na wsi w rodzinie bardzo wierzącej, bogobojnej i kultywującej wartości chrześcijańskie. W rodzinnej parafii był ministrantem i lektorem. Po skończeniu Szkoły Podstawowej w Słotowej rozpoczął naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Pilźnie, gdzie też zdał maturę w roku 1978. Na wakacjach po maturze zgłosił się do Wyższego Seminarium Duchownego w Tarnowie, ponieważ postanowił, że nie pozostanie w domu, aby pracować w gospodarstwie (choć tę pracę bardzo lubił, a rodzice liczyli, że ich zastąpi), lecz będzie księdzem. Lata studiów teologicznych i formacji seminaryjnej były dla niego czasem niezwykle ważnym i bogatym w przeżycia duchowe. Gdy był na pierwszym roku zmarł mu ojciec. Wśród kleryków dał się poznać jako człowiek wesoły, a jednocześnie głęboki duchowo, zdolny i pracowity, otwarty na każdego i koleżeński. W seminarium piastował funkcję prezesa kleryckiego koła misyjnego. Ta praca była jego wielką pasją. Zasłynął z tego, że wysyłał wielkie ilości paczek i skrzyń do misjonarzy, którzy wówczas bardzo potrzebowali takiej pomocy. Wkładał w nie różne rzeczy potrzebne do sprawowania liturgii, lekarstwa, przybory szkolne i wiele innych potrzebnych na co dzień misjonarzowi. Już wtedy łatwo dało się zauważyć, iż praca misyjna będzie treścią jego kapłańskiego życia. Świecenia kapłańskie otrzymał 27 maja 1984 r. w Katedrze Tarnowskiej z rąk arcybiskupa Jerzego Ablewicza.

Duszpasterz

Po święceniach kapłańskich został mianowany wikariuszem w Bobowej. To była jego jedyna placówka duszpasterska w rodzimej diecezji, pracował tam od 26 czerwca 1984 roku do 27 lipca 1988 roku. Przyszedł do parafii jako neoprezbiter, lecz szybko nadrabiał braki w doświadczeniu. Jak zaświadczył jego ówczesny proboszcz ks. Stanisław Chrzan, „okazał się kapłanem wielkiego serca, całkowicie oddany sprawie Bożej i ludziom. /.../ Wierni czując jego dobroć i życzliwość, garnęli się do niego. Szczególnie szybko zaczęła otaczać go młodzież. Ksiądz Jan poświęcał jej dużo czasu”. Szybko zorganizował w parafii grupę teatralną. Okazał się być bardzo wrażliwym na ludzkie potrzeby. „Szczególną troską otaczał ludzi w podeszłym wieku i chorych. Często odwiedzał ich i odprawiał im w domach Msze święte”. Bardzo lubił odwiedzać chorych z okazji pierwszych piątków. W czasie pogrzebu ks. Jana jeden z parafian z Bobowej wspominał fakt, jak pewnego dnia ich wikariusz zjawił się w domu bardzo chorej dziewczynki, pomógł rodzinie materialnie i podtrzymał ich na duchu. Pomocy nie ograniczył tylko do tego jednego razu, tym samym zaskarbił sobie wdzięczność tych ludzi. Żywo interesował się życiem parafii, zawsze był gotowy pomagać proboszczowi i innym księżom. Jego dobroć i życzliwość wyływały z głębokiej wiary, były świadectwem miłości do Boga i bliźniego. Całym swoim życiem chciał służyć innym.

Misjonarz

W kwietniu roku 1988 zmarła matka księdza Jana. Wtedy udał się do ks. abpa Jerzego Ablewicza i poprosił o pozwolenie wyjazdu na misję. Jak sam mówił, decyzję o wyjeździe podjął już wcześniej, przed jej realizacją wstrzymywała go prośba chorej mamy. Przed wakacjami otrzymał zgodę od Księdza Biskupa Ordynariusza, a jesienią rozpoczął przygotowanie do wyjazdu w Centrum Formacji Misyjnej w Warszawie. Rok później w Uroczystość Najświętszego Serca Jezusowego ks. abp Jerzy Ablewicz posłał go do pracy misyjnej wraz dwoma innymi księżmi: Markiem Muszyńskim i Piotrem Świdrem. Posłanie odbyło się w kościele pw. Narodzenia NMP w Gorlicach. Pasterz Diecezji mówił wówczas w homilii, że realizuje się Boży plan, a księża posyłani na misje pomagają w jego realizacji. Życzył im też przeżywania szczęścia płynącego ze świadomości współpracy z Chrystusem nawet wtedy, gdy będą musieli cierpieć. Kiedy kilka miesięcy później ks. Jan wyjeżdżał do Afryki, był szczęśliwy. W Kongu pracował najpierw przez trzy lata razem z księdzem Stanisławem Łacnym w Mindouli, potem w roku 1992 przybył do Loulombo, gdzie przez dwa lata współpracował z księdzem Józefem Smoleniem. W 1994 roku został proboszczem w Loulombo i piastował tę funkcję aż do swojej śmierci. W pracy duszpasterskiej pomagał mu najpierw ks. Bogdan Piotrowski, a potem rodzimi księża Kongijczycy. Był bardzo zaangażowany w pracę misyjną, a jednocześnie odznaczał się radością życia i wielkim optymizmem. Chętnie podejmował piesze wyprawy do 9 wiosek należących do parafii i rozsianych po górach w krainie ludzi Ba Dondo. Jego współpracownik ks. Bogdan nazwał księdza Jana "człowiekiem gór". Uczynił to nie tylko z tego powodu, że ksiądz Jan lubił górskie wyprawy, ale także dlatego, że Jasiu stawiał sobie wysokie wymagania, lubił wznosić się na szczyty i zawsze uparcie dążył do celu. W Loulombo wybudował aptekę i dom dla siostr, chciał jeszcze zbudować szkołę i mały kościółek w jednej z wiosek. Jego pasją była też hodowla pszczół. Próbował oswoić bardzo niebezpieczne pszczoły afrykańskie i krzyżował je z przywiezionymi z Polski. Pragnął nauczyć pszczelarstwa Afrykańczyków, szczególnie młodych. W ramach edukacji kulturalnej, społecznej i zawodowej pragnął także nauczyć swoich parafian, jak hodować w Afryce owce. Wielokrotnie przeżywał na misjach różne niepokoje, konflikty zbrojne i w końcu wojny. Dlatego zawsze konsekwentnie był człowiekiem "wprowadzającym pokój". Kiedy w roku 1997 zaczęto na południu organizować komitety rozbrojeniowe dla pokoju, przyjął w nich funkcję wiceprzewodniczącego. Nie było to łatwe, bo w samym Loulombo zamieszkiwali ludzie z czterech grup etnicznych, którzy tworzyli swoje obozy. Ksiądz Jan doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się naraża. Odwagę i siły do pracy czerpał z modlitwy, rozważania słowa Bożego i bliskości z Chrystusem Eucharystycznym.

Świadek

W dziesiątym roku jego dojrzałej już pracy misyjnej przyszło mu złożyć ostateczne i najważniejsze świadectwo: dać swoje życie w ofierze za braci. Konflikty zbrojne większe lub mniejsze wybuchają w krajach afrykańskich bardzo często z wielu powodów. Ten ostatni związany z wyborami prezydenckimi w roku 1997 był już trzecim lub czwartym w czasie pracy misyjnej księdza Jana. Wielu misjonarzy musiało w tym czasie opuścić kongijską ziemię. Ksiądz Jan pracował cały czas na swojej placówce w Loulombo, chociaż w miarę rozwoju sytuacji atmosfera stawała się coraz bardziej napięta szczególnie wówczas, gdy zaczęła padać stolica i walki przenosiły się na prowincję. Drogami przeciągały uzbrojone grupy ludzi; na południe ciągnęli przede wszystkim ci, którzy byli przegrani w tej wojnie, a za nimi szli ci, którzy pragnęli zemsty. Ks. Jan Czuba był wiceprzewodniczącym komitetu rozbrojeniowego, którego praca skupiała się na tym, aby przekonać ludzi do oddania broni, uspokojeniu sytuacji i przywrócenia normalnego życia na tym terenie. Żeby nieco wypocząć i zakosztować życia w spokoju, ksiądz Jan przyjechał w lecie 1998 roku na wakacje do Polski.

Odpoczywał przede wszystkim w rodzinnej Słotowej, ale nie stronił wcale od pracy duszpasterskiej. Odwiedzał Dom Formacji Misyjnej Diecezji Tarnowskiej, który funkcjonuje w Parafii Czchów na Kozieńcu, aby spotkać się z uczestnikami Szkoły Animatorów Misyjnych i podzielić się swoimi misyjnymi przeżyciami. W tym czasie był także kilka dni na oazie misyjnej dla dzieci i młodzieży, którą prowadziłem w Wysowej. Dał się poznać, jako człowiek bardzo pogodny, przyjacielski, odznaczający się optymizmem i dziecięcą radością, chociaż w jego umyśle i sercu czaiła się obawa przed niepewnym jutrem na afrykańskiej ziemi. We wrześniu odjechał z Polski na zawsze, aby swoje „misyjne powołanie przypieczętować ofiarą życia”, jak między innymi o nim powiedział Ojciec Święty Jan Paweł II w Starym Sączu 16 czerwca 1999 roku.

W jego kongijskiej parafii sytuacja była coraz gorsza. Przez parafię przeciągały różne grupy uzbrojonych ludzi. Ich działalność nasiliła się pod koniec października. Wielokrotnie namawiano księdza Jana, aby opuścił wioskę, lecz on odpowiadał: "Jeśli opuszczę Loulombo, chrześcijanie również uciekną. Lepiej zostać i umrzeć wśród swoich parafian". We wtorek 27 października 1998 roku około południa pojawiła się na terenie parafii grupa żołnierzy obalonego prezydenta i zażądali wydania broni, która, jak twierdzili, jest na plebani, co nie było oczywiście prawdą. Przeszukali dom niczego nie znajdując. Proboszcz chciał nawet dać im jeść, bo widział, że są głodni. Wtedy przyszła druga grupa żołnierzy, którzy okazali się być bardziej agresywni. Ci grozili, że będą strzelać. Ksiądz Jan był nieugięty i wtedy jeden z napastników oddał dwa strzały w jego kierunku. Misjonarz upadł bez słowa wydając ostatnie tchnienie. Zabójcy grozili jeszcze bronią innym księżom i siostram zakonnym, potem zabrali samochód parafialny i odjechali. Pogrzeb księdza Jana odbył się nazajutrz w środę. Celebrowali go rodzimi księża, którzy ukrywali się w Loulombo. Uczestniczyło w nim wielu parafian, którzy pochowali swojego proboszcza pomiędzy kościołem a grotą Matki Bożej. Ksiądz Jan był przygotowany na śmierć. Wcześniej trzy razy mówił o niej siostram zakonnym, z którymi pracował.

W encyklice Jan Pawła II *Fides et ratio* czytamy: „Męczennik jest najbardziej autentycznym świadkiem prawdy o życiu. Wie, że dzięki spotkaniu z Chrystusem, znalazł prawdę o życiu i tej pewności nikt ani nic nie zdoła mu odebrać. Ani cierpienie, ani śmierć zadana przemocą nie skłonią go do odstąpienia od prawdy, którą odkrył, spotykając Chrystusa. Oto dlaczego po dziś dzień świadectwo męczenników nie przestaje fascynować, znajduje uznanie, przyciąga uwagę i pobudza do naśladowania. Powód, dla którego ufamy ich słowu, jest taki, że dostrzegamy w nich oczywiste świadectwo miłości, które nie potrzebuje długich wywodów, aby nas przekonać, gdyż mówi do każdego człowieka o tym, co on w głębi serca uznaje za prawdę i czego od dawna poszukuje. Męczennik budzi w nas głębokie zaufanie, ponieważ mówi to, co my już przeczuwamy i wypowiada otwarcie to, co my również chcielibyśmy umieć wyrazić” (FR 32). To wszystko dokładnie wypełniło się w życiu i śmierci księdza Jana. Zasluguje więc w pełni na to, aby nazywać go męczennikiem w dziele misyjnym Kościoła.

W dniu 29 czerwca 2000 roku, w uroczystość Świętych Apostołów Piotra i Pawła, w Domu Formacji Misyjnej w Czchowie została odsłonięta tablica poświęcona ks. Janowi, a Dom otrzymał imię ks. Jana Czuby.

KONTEKST KONKURSU – JUBILEUSZ 50-LECIA

Dzień 15 maja 1973 r. wyznacza początek wyjazdów na misje księży tarnowskich. W tym to roku wyjechało pierwszych czterech kapłanów do Ludowej Republiki Konga, gdzie posłał ich ówczesny biskup tarnowski Jerzy Ablewicz.

Wspomniana wyżej data winna się nam kojarzyć jednak nie tylko z misyjnym zaangażowaniem Kościoła tarnowskiego w konkretnym kraju Afryki, ale z początkiem misyjnego otwarcia w ogóle. To misyjne zaangażowanie diecezji tarnowskiej, rozprzestrzeniło się na inne kraje, jak i kontynenty. Przybywało ich co parę lat i dzisiaj, gdy dopełniło się już pięćdziesięciolecie, można wskazać trzynaście krajów na trzech kontynentach, gdzie pracowali i pracują misjonarze tarnowscy: w Afryce (5), w Ameryce (6) i w Azji (2). Te trzynaście krajów to: Republika Konga, Republika Środkowoafrykańska, Republika Południowej Afryki, Czad i Kamerun w Afryce. W Ameryce Łacińskiej: Argentyna, Boliwia, Brazylia, Ekwador, Kuba i Peru. W Azji zaś Kazachstan i Kirgistan.

Do tych trzynastu miejsc na świecie zostało posłanych do tej chwili dokładnie 150 księży tarnowskich.

DWA TEKSTY WYJĘTE Z KSIĄŻKI „50 LAT Z EWANGELIĄ W PROMIENIACH KONGIJSKIEGO SŁOŃCA”- Biblos 2023.

Tekst 1: 25 lat od niespodziewanej, brutalnej śmierci

Obecność i praca tarnowskich misjonarzy w Kongu-Brazzaville na przestrzeni pięćdziesięciu lat to ogrom dobra przekazanego i pozostawionego tam zarówno pod postacią ewangelizacji, jak i działania na rzecz promocji człowieka. Wzrost liczby ochrzczonych, większa świadomość religijna wiernych, wybudowane kościoły, kaplice, szkoły, księgarnie, apteki i różnej użyteczności domy, podejmowane dzieła charytatywne – to wszystko jest darem wiary tych, którzy swój dłuższy lub krótszy czas oddali tamtemu Kościołowi. Ich dzieła, przekładające się na rozwój duchowy wiernych, a także na materialne struktury, z których ci mogli i mogą wciąż korzystać, świadczą same za siebie. Jednak złożona tam ofiara przelanej krwi naszego rodaka przewyższa je wszystkie i jest ich dopełnieniem. Tę ofiarę złożył w Loulombo pod koniec października 1998 roku ksiądz Jan Czuba.

Jubileusz pięćdziesięciolecia obecności i posługi tarnowskich prezbiterów na kongijskiej ziemi jest jednocześnie dwudziestopięcioletniem męczeńskiej śmierci księdza Jana. Przed dwudziestoma pięcioma laty, w kontekście męczeństwa naszego rodaka, ówczesny biskup tarnowski Wiktor Skworec pisał o tej śmierci, że jest ona „dopełnieniem ofiarnej, dwudziestopięcioletniej pracy kapłanów tarnowskich na misjach w Kongu”. Jest jednocześnie „gwarancją mocy Ducha Świętego dla tych, którzy z tarnowskiej diecezji znów zostaną posłani” – jak komentował to wydarzenie ksiądz Antoni Kmiecik, nieżyjący już długoletni dyrektor krajowy Papieskich Dzieł Misyjnych.

Księdzu Janowi śmierć niejedną raz zaglądała oczy. W dniu 27 października 1998 roku stała się jednak faktem. Przez długi czas miejsce, w którym zginął ksiądz Jan, było niedostępne. Ksiądz Bogdan Piotrowski, będąc proboszczem w Brazzaville i przebywając najbliżej Loulombo ze wszystkich misjonarzy tarnowskich (około dwustu kilometrów), mógł dotrzeć na miejsce śmierci swojego kolegi dopiero pod koniec stycznia 2000 roku.

Podczas swojej ostatniej wizyty w Kongu, podobnie jak dziewięć lat wcześniej, biskup tarnowski Andrzej Jeż nie mógł opuścić tego tak bardzo dla nas wszystkich drogiego miejsca. 13 lutego tego roku spotkał się z biskupem Ildevertem Mouangą – biskupem diecezji Kinkala, na terenie której zginął nasz tarnowski misjonarz. Rozmawiali o perspektywie otwarcia procesu beatyfikacyjnego księdza Jana. Biskup Ildevert z radością wyraził gotowość do podjęcia odpowiednich działań, polegających na przygotowaniu materiałów dotyczących życia i służby księdza Jana Czuby.

Ufamy, że Kościół, budowany na krwi męczenników, nie straci pamięci o swoich synach, którzy nie wahali się pozostać przy Chrystusie do końca. Krew księdza Jana plami ziemię w Loulombo, gdzie złożył on ofiarę ze swego życia. Nam zaś nie wolno zapomnieć, że „to zbyt cenna plama, by mógł ją wywabić czas”. To plama, która w Chrystusie ma wartość na wieki.

Tekst 2: Ciekawa historia związana z grotą w Loulombo

Przebywając na kongijskiej ziemi, możemy zauważyć jak wygląda życie tamtego Kościoła, ubogacone przez wymiar maryjny. To, o co możemy się wzbogacić, dotyczy zresztą nie tylko Kościoła w Kongu. Wszędzie tam, gdzie w Afryce pracują tarnowscy misjonarze, a więc również w Czadzie czy Kamerunie, wspólnoty parafialne dysponują specjalnymi miejscami na modlitwę maryjną. Są nimi grotty lourdzkie. Praktycznie nie ma tarnowskiego misjonarza, który by grotty maryjnej nie wybudował, jeżeli ona jeszcze nie istniała, gdy obejmował parafię.

Oczywiście nie brakuje grotty Matki Bożej w Loulombo. Wybudował ją ksiądz Jan Czuba. Również i tu w jej cieniu zostało złożone ciało kapłana. Niestety po jego zamordowaniu ktoś ją zniszczył. Później sami parafianie wstawili na to miejsce nową figurę, choć już nie tak piękną, jak ta, która została przywieziona z Polski przez samego księdza Jana, kiedy wrócił do Konga z ostatniego w życiu urlopu we wrześniu 1998 roku. Z przywiezieniem tej figury wiąże się ciekawa historia. Wiózł ją przy sobie, jako bagaż podręczny. Była dobrze zapakowana, z wystającą głową, tak by można było zobaczyć, co jest w środku opakowania. Szczególną uwagę pasażerów zwracała owa wystająca głowa figury. Gdy nadszedł moment wejścia na pokład samolotu francuskich linii Air France, ksiądz Jan wraz z towarzyszącym mu księdzem Eugeniuszem Szyszką (od którego znamy tę relację), przeszli specjalnym rękawem, który doprowadził ich do drzwi samolotu. Tam powitali ich pilot i stewardessa. Księża czekali, jak na ten niezwykły bagaż podręczny zareaguje pilot samolotu. Zapytał on księdza Jana: „Monsieur [czyt. mesjè], co to za bagaż?”. Ksiądz Jan odpowiedział: „Jestem misjonarzem i wiozę ze sobą figurę Matki Bożej do Afryki”. Pilot na to: „Proszę ojca misjonarza, trochę ten bagaż jest nietypowy, a nawet za duży, by go umieścić w schowku na bagaż podręczny”. Ksiądz Jan odparł, że może jakoś da się zaradzić temu problemowi. Wtedy pilot zwrócił się do naszego misjonarza: „Proszę więc wziąć bagaż i pójść za mną, bo mam pomysł, gdzie go umieścić”. Sam skierował się w stronę swojej kabiny, a za nim poszedł ksiądz Jan z figurą. Jak się potem okazało, pilot postarał się, aby statua poleciała do Afryki w kabynie pilotów. Wtedy uradowany misjonarz zwrócił się do swego towarzysza podróży: „Widzisz, Gienek, jak Matka Boża sobie poradziła. Ona ma swoje sposoby. Trzeba Jej tylko wszystko zawierzyć”.

Przy grotach Matki Bożej Afrykańczycy zawierzają Jej wiele swoich spraw, dotyczących codziennego życia. Czynią to zarówno indywidualnie, jak i przychodząc całymi grupami, zwłaszcza w ramach tak zwanego Legionu Maryjnego. Nie przez przypadek Matkę Jezusa nazywają Mama Marie.

ROZMOWA-WYWIAD Z KSIĘDZEM JANEM CZUBĄ

Niezwykle cenna jest treść rozmowy, którą podczas wakacji 1998 r. przeprowadziła dla czytelników bobowskiego „Echa Parafii” p. Barbara Kowalska. Jest to właściwie misyjne „credo” księdza Jana, rodzaj duchowego testamentu, który staje się wyzwaniem dla nas wszystkich.

Moje serce zakorzeniło się tam...

Minęło już trochę czasu od naszego ostatniego spotkania. Muszę przyznać, że nie widać po Księdzu ani minionego czasu, ani tragicznych przeżyć, o których trochę wiemy.

Miniony czas, czas wojny, zmienił moje dotychczasowe życie, zmniejszył moją aktywność fizyczną, zmusił do częstszego przebywania w domu. To jest dla mnie czas trudny, ale i pouczający. Staram się brać życie takim, jakie jest, a ono robi mnie takim, jakim jestem.

Zacznijmy od początku. Kiedy zrodził się pomysł zostania misjonarzem?

Moje myśli misjonarskie sięgają lat dzieciennych, czasów, gdy oglądałem filmy o ojcu Damianie. W seminarium miałem bezpośredni kontakt z misjonarzami, którym starałem się pomagać w miarę swoich możliwości. Zrozumiałem wówczas, że moje kapłaństwo będę mógł w pełni realizować tylko jako misjonarz. Jestem księdzem diecezjalnym. Działam zgodnie ze statusem „fidei donum”, czyli „daru wiary”. Polega to na tym, że diecezje bogatsze dzielą się czym i kim mogą z biedniejszymi. Dzielą się więc i nami, księżmi.

Czy ma Ksiądz określony czas pobytu na misji?

Kiedy wyjeżdżałem, podpisałem umowę na okres 6 lat. Cztery lata temu minął pierwszy okres umowy. Pozostałem jednak, a widząc, że jestem tam potrzebny, zamierzam nadal tam zostać. W najbliższym czasie nie zamierzam wracać do kraju. Przeżyłem dwie wojny, a kiedy trzeba będzie, przeżyję następne. W czasie wojny wyjechało stamtąd 50% misjonarzy. Z diecezji tarnowskiej pozostało sześciu. Ja zostaję.

Pisząc kiedyś o misjonarzach, napisałam: „ich serca zakorzeniły się tam”. Czy miałam rację?

Tak. Mówiąc o misji, mówię już „u mnie”, „moja parafia”, „moja misja”, „moi parafianie”. Realizuję tam w pełni moje kapłaństwo. Ta misja w Loulombo jest moja, jest moją misją z wyboru. Czuję się tam dobrze, jestem u siebie, tam jest mój dom, a ci, z którymi pracuję i obcuję, są moją rodziną. Żyję ich życiem, a oni żyją moim. Tak, miałaś rację, moje serce zakorzeniło się tam.

Czy powtórzyłby Ksiądz swój wybór, gdyby mógł wrócić miniony czas?

Tak. 10-letni okres pobytu na misji to wspaniały okres w moim życiu. Stworzył mi on szansę rozwoju w wielu kierunkach. Czasem jestem w bardzo trudnej sytuacji, muszę sam decydować o sprawach trudnych, ale dzięki opiece Bożej jakoś sobie radzę.

W Kongo przeżył Ksiądz dwie wojny. Nadal trwają tam zamieszki...

Pierwsza wojna pozwoliła mi zasiadać w gronie mediatorów. Zwrócono się do mnie o pomoc w prowadzeniu rozmów pokojowych, w rozwiązywaniu bieżących problemów. Ważne było, że umiałem nawiązać kontakt z ludźmi o różnych poglądach. Druga wojna, podobnie jak pierwsza, wojna plemienna, wojna o władzę, nie zakończyła się definitywnie. Nadal grasują bandy, które zagrażają cywilnej ludności. Początkowo były to groźne starcia na

północy kraju, z biegiem czasu cały ciężar ich skutków przeniósł się na południe i tak jest do dziś. Jestem wiceprezydentem w tzw. Komitecie Pokoju w moim regionie.

Proszę powiedzieć: co w wojnach, które Ksiądz przeżył, najbardziej go przeraziło?

Przeraziło mnie bezduszne stanowisko rządu wobec ludzi umierających na cholera. Zwracaliśmy się o pomoc do rządu, do instytucji charytatywnych. Nikt nam nie pomógł. Dla nich życie ludzkie nie ma znaczenia, natomiast ważniejsze jest sprowadzenie helikopterów, wojska i broni. O zagrożeniu własnego życia nigdy nie myślałem. Istniał dla mnie tylko inny człowiek, któremu starałem się pomóc. Po wielu prośbach ulitowali się nad nami francuscy lekarze. Pomogli uratować wiele ludzi. W tym okresie, okresie wojny i zarazy, tematem naszych kazań była higiena życia codziennego, która decydowała o życiu lub śmierci.

Czy są takie chwile, że chciałby Ksiądz wszystko rzucić i wrócić do Ojczyzny?

Zdecydowanie nie. Misja jest mi bardzo bliska. Chyba tylko w momencie, gdyby wojna ją całkowicie zniszczyła, może wtedy zastanawiałbym się poważnie nad powrotem. W innym przypadku nie.

Ks. Stanisław Pawłowski mówił kiedyś o Księdzu jak o bohaterze i o wręcz cudownym uniknięciu śmierci. Jak to było?

Pewnej nocy banda napadła na misję. Siostrę zakonną napadnięto wcześniej. Udało jej się jednak uciec z życiem. I oto przyszła kolej na mnie. Próbowali wyłamać drzwi i okna. Spuściłem psa i uderzyłem w dzwon. Był to rzeczywiście dzwon na trwogę. Dzięki nocnej ciemności udało mi się ukryć. „Pan Bóg kule nosił”, bowiem żadna mnie nie trafiła, choć leciało ich sporo. Zaalarmowana młodzież z pobliskiej okolicy przybyła mi na pomoc. Po drodze zdetonowali kilka granatów, czym wystraszyli bandytów. Byli przekonani, że zginąłem lub jestem ciężko ranny. Pan Bóg jednak uchronił mnie, rzeczywiście cudem uszedłem z życiem. Młodzi ludzie, którzy przybyli mi z odsieczą, byli szczęśliwi, że żyję i uwierzyli w cud mojego ocalenia. Teraz czuwają nad misją, a ja wśród nich nie czuję się zagrożony.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Barbara Kowalska

Przedruk z „Gościa Niedzielnego”, 1998/49.

OKOLICZNOŚCI ŚMIERCI KS. JANA CZUBY

Poniższy materiał pochodzi z I rozdziału książki „Zostaję na miejscu do końca” noszącego tytuł: „Nie jestem pewny jutra”.

„Nie jestem pewny jutra” to słowa z listu napisanego przez księdza Jana dwa dni przed śmiercią. Rozdział ten wprowadza nas w atmosferę tamtych dni, wyrażoną w listach Misjonarza, jak i pisanych przez innych bezpośrednio po jego śmierci.

Choć wojna domowa w Kongo zakończyła się oficjalnie w grudniu 1997 roku, to jednak życie na południu kraju, z uwagi na grasujące bandy, było ciągle naznaczone niepokojem i niepewnością jutra. List księdza Jana, ze stycznia 1998 roku, do jego brata z rodziną, oddaje rzeczywistość tamtego czasu. Wydarzenie w nim opisane jest złowrogą zapowiedzią, że stanie się coś bardzo złego.

Loulombo, 7 stycznia 1998 r.

Drodzy!

Zasypuję Was listami, a Wy... nie wiem, bo tu nadal poczta nie funkcjonuje. Dobrze mieszkać w normalnym kraju, ale zachciało się... Ostatnio, po wojnie, mieliśmy odwiedzić dobrze uzbrojonych bandytów w nocy z soboty na niedzielę, po północy. Zaczęli od sióstr, ale były odważne i nie otworzyły, próbowali otwierać okna i drzwi, ale nie dali rady, a siostry zaczęły się bardzo głośno modlić. Odstąpili i przyszli do mnie. Pies zaczął szczekać, a ci zabrali się od razu za moje drzwi od biura parafialnego. Obudziłem się i zrozumiałem, o co chodzi. Wskoczyłem z mieszkania z drugiej strony i spuściłem na nich psa. Wtedy rozpoczęła się strzelanina. Najpierw pobiegłem „opłotkami” do sióstr, by się coś dowiedzieć, a potem do dzwonu parafialnego. Gdy usłyszeli dzwon, zaczęli biec w moim kierunku i jeszcze raz strzelać z broni maszynowej. Uciekłem znowu przez trawy i posłałem psa wilczura w ich kierunku.

Na głos naszego dzwonu odpowiedzieli też protestanci. Młodzież zaczęła strzelać ze strzelb przy drodze wjazdowej, to ich wypłoszyło do końca. Taki mały prawdziwy western afrykański.

Tęsknię już za wakacjami, ale zdecydowałem się, że trzeba najpierw zamknąć rok katechetyczny, chodzi o sakramenty, a potem do Ojczyzny. Dlatego przyjadę nie wcześniej niż w połowie maja, dobre to dla uczniów i studentów. Uwaga, bo może przyjadę z prawdziwym Murzynem, najpierw nasz Biskup diecezjalny, a potem jeden z księży chciałby zobaczyć Polskę. Trzeba Wam szlifować francuski.

Kończąc przesyłam najserdeczniejsze życzenia Noworoczne i Wielkanocne. Poczta tu nadal nie funkcjonuje.

Z modlitwą

Ks. Jan

Odpiszcie na adres, może dojdzie przez port oceaniczny w Pointe Noire:

Père Gerard Simon
(P. Jan Czuba Loulombo)
B.P. 656 Pointe Noire
Rép. du Congo
AFRIQUE

Do swojego brata Stanisława i rodziny ksiądz Jan napisał ostatni list na miesiąc przed śmiercią. Potwierdza w nim przekonanie o potrzebie swojego powrotu do Loulombo, pisząc o przyjęciu, jakie zgotowali mu mieszkańcy tej misji.

Loulombo, 28 września 1998 r.

Drodzy!

Już drugi raz zaczynam pisać, za pierwszym razem zacząłem po polsku i w połowie strony nieświadomie przeszedłem na francuski, dobrze że jeszcze nie na kongijski. Bogu dzięki, jestem już u siebie w Loulombo. Dotarłem w miarę bez przeszkód 14 września. Trochę miałem trudności z miejscem, o czym wspominałem w telefonie z Paryża. Wszystko udało się dowiedzieć, figurę Matki Bożej, pszczoły i pozostały ekwipunek. W pierwszą niedzielę po przyjeździe parafianie zgotowali mi gorące przyjęcie, osiem kogutów, nie licząc reszty. Nie wiem dlaczego, ale bardzo bali się, że nie wrócę. Nie bardzo rozumiem, skąd u nich zrodził się ten lęk. Kiedy mnie zobaczyli i usłyszeli, to radości nie było końca. Mnie też to dodało skrzydeł, żeby z nimi tu być. Misję odnalazłem w nienajgorszym stanie. Siostry i kleryk spisali się na medal. Teraz powolutku rozkręcam na nowo duszpasterstwo i miodobranie. Wielką przeszkodą jest kryzys paliwowy, ani na przysłowiowe lekarstwo benzyny czy nafty. Zostaje mi tylko to, co zgromadziłem przed wakacjami.

Odwiedziłem już dwie parafie, sporo ludzi przychodzi też na miejsce, by się ze mną spotkać. Utrzepaliśmy też już blisko 100 litrów miodu, a sporo jeszcze czeka w ulach. Przydałby mi się też Sławek i Tomek. Powoli na nowo aklimatyzuję się, ale więcej się pocę na skutek sporej nadwagi, zdobytej dzięki dobrej kuchni bratowej. Za parę tygodni zaczniemy krycie dużego domu zakonnice, a w małym może w przyszłym roku otworzymy szpital, dla Eli i Kasi miejsce pracy.

W Kongo sporo zmieniło się na lepsze w czasie wakacji, chociaż ostatnio jest trochę zamieszania w naszym terenie. Pociąg nie kursuje i są problemy z komunikacją. Przydałoby się, by Brat wybrał moje nowe auto w Europie, zapakował parę beczek paliwa i przyjechał z tym do Konga.

Myślę, że na razie tyle wystarczy, serdecznie dziękuję Wam wszystkim za mile spędzone wakacje, teraz trzeba odrobinę popracować, by zasłużyć na następne. Przesyłam Wam serdeczne i gorące pozdrowienia z Czarnego Lądu.

Z modlitwą

Ks. Jan

Po powrocie księdza Jana z urlopu sytuacja w Kongu stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Do Loulombo dotarł właśnie wtedy, gdy kończył się względny spokój w kraju. W październiku południe Rep. Konga było już odcięte od stolicy. Łączność, jaką posiadał z kolegami-misjonarzami z Brazzaville, była jednak możliwa przez radio CB. Na dwa dni przed śmiercią napisał list (ostatni w życiu) do ks. Andrzeja Kurka.

Loulombo, 25 października 1998 r.

Drogi Andrzeju!

Pisząc ten list, nie jestem pewny „jutra”, znowu prawie wojna, stolica diecezji opustoszała, są u mnie też dawny wikary Bogdana i obecny Stana, którzy też uciekają. Jest ze mną Bernard, obecny curé (proboszcz – przyp. red.) z Vindzy. Cały region, można powiedzieć, „w ogniu”. Wszystko w ręku Pana. Stan na praktyce u Bogdana. Większość misji rozgrabionych, są tylko dwie, a może trzy, gdzie są księża. Zostają na miejscu do końca,

parafia funkcjonuje prawie normalnie, codziennie odmawiamy cząstkę różańca o pokój. Odwiedziłem już po wakacjach większe wspólnoty, na mniejsze przyjdzie czas. Już znudziło mi się o tym pisać i tym żyć, chciałoby się normalnego życia w spokoju. Normalnie w tę sobotę powinienem rozpocząć budowę w Mpassa, mamy już cement – to prawie cud – i żelazo na fundamenty, zobaczymy, co z tego wyniknie. (...)

Z okazji imienin przesyłam Ci najserdeczniejsze życzenia, dużo zdrowia, radości, zadowolenia i miłego spotkania z kolegami.

Ks. Jan

Ks. Bernard Yindoula, jako kapłan diecezji Kinkala, jest jedynym naocznym świadkiem tragicznych zjść w Loulombo w dniu 27 października 1998 roku, którego świadectwo prezentowane jest w tej książce. Jako rodak parafii Loulombo był na miejscu w owych dniach. Po tragicznych wydarzeniach przebywał bardzo długo z dala od Brazzaville, gdzie dopiero niemal po roku mógł złożyć jedyne w swoim rodzaju świadectwo.

Wydarzenia, które pogrążyły w żałobie niejedną rodzinę naszego kraju, nie oszczędziły również Kościoła w Republice Konga, a szczególnie diecezji Kinkala. Diecezja ta, której biskupem jest Jego Ekscelencja Anatol Milandou, podczas wydarzeń w roku 1998 utraciła jednego ze swych misjonarzy – księdza Jana Czubę. Został on zamordowany w dniu 27 października 1998 roku o godz. 14.00 w Loulombo, dwie godziny po naszym wspólnym obiedzie. Ksiądz Jan był fidejonistą i pochodził z diecezji tarnowskiej, z Polski. A oto wydarzenia, które przeżyłem, będąc u boku księdza Jana w dniach od 24 do 28 października 1998 roku – dnia jego pogrzebu.

Jako rodak z Loulombo każdego roku przybywałem tam na czas urlopu. W roku 1997 spędziłem ten urlop przy boku księdza Jana, w parafii. Tam mieszkają również moi rodzice i siostry. Podobnie tym razem przybyłem do Loulombo z Vindzy, gdzie byłem proboszczem, i choć w moim zamiarze było spędzić urlop w rodzinnym domu, na propozycję księdza Jana zatrzymałem się na plebanii.

Około 25 września przestała funkcjonować kolej. Zostałem więc zmuszony pozostać w rodzinnej miejscowości. Pozostali księża znaleźli tu schronienie po wydarzeniach w Mindouli i Missafou. Razem z nimi zdecydowaliśmy opuścić Loulombo.

Kiedy byłem już spakowany, ksiądz poprosił mnie, abym z nim został pomagać w duszpasterstwie. Powiedział mi wtedy, żartując: „Zostań ze mną, Bernard, ty będziesz moim proboszczem, a ja twoim wikariuszem, zachowując prawo dysponowania pieniędzmi”. Drugim powodem mojego pozostania w Loulombo był brak pieniędzy na zakup biletu na samolot do Brazzaville. Mogłem je co prawda pożyczyć u księdza Jana, ale odpowiedział mi podobnymi, jak wyżej, słowami. Do mojej parafii Vindzy oddalonej o 200 km od Loulombo nie mogłem się przedostać z powodu zablokowanej drogi. Niemożliwość przemieszczenia się wynikała również z niebezpieczeństwa, jakie panowało w naszym regionie. Zostałem więc w Loulombo. Teraz ciągle zadaję sobie pytanie: czy też Pan Bóg nie chciał, abym był naocznym świadkiem śmierci księdza Jana?

Sobota, 24 października 1998 r.

Wieczorem po kolacji, którą zwykle spożywaliśmy około godz. 20.00 wspólnie z siostrami, kiedy znajdowaliśmy się razem z ks. Alain Biniakounou z diecezji Kinkala (wikariuszem ks. Bogdana), ks. Bernardem Kissakolo (wikariuszem ks. prałata Stanisława Łacnego), ks. Izaakiem Bitsoumanou (ojcem duchownym małego seminarium w Mindouli) i z klerykiem z wyższego seminarium (Jean de Dieu, przebywającym w 1998 roku na stażu w

Loulombo), z tarasu plebanii zauważyliśmy czteroosobową grupę krążącą po terenie parafii. Wobec tego faktu, ksiądz Jan i my, podjęliśmy roztropną decyzję opuszczenia plebanii i udania się na noc do pobliskiego lasu. Na szczęście, Moukambou (kleryk) zaproponował nam schronienie u swojej rodziny. Tej samej nocy około godz. 21.00 grupa tych samych bandytów zniszczyła sklep handlarza, pana Banzouzi, znajdujący się blisko stacji kolejowej. Po napadzie udali się do budynku policji, szukając oficera odpowiedzialnego za bezpieczeństwo w Loulombo, z którym ksiądz Jan pozostawał w bardzo dobrych relacjach. Policjant o imieniu Emmanuel był praktykującym chrześcijaninem. Bandyci nie zastali go, gdyż zdołał uciec do pobliskich lasów, które znajdują się w odległości 800 metrów od plebanii, w nieznanym nam miejscu.

Niedziela, 25 października 1998 r.

W godzinach porannych młodzież wyraziła zamiar śledzenia grupy bandytów, którzy znajdowali się jeszcze w okolicy wioski. Od oficera policji zażądali broni. On jednak nie zgodził się na to, ponieważ formalnie zabronione jest posiadanie broni przez cywili. Zaraz po tym oficer uciekł z wioski. Jego zniknięcie wprowadziło zamęt i przyczyniło się do powstania pogłoski, że broń została ukryta w parafii, a więc znajduje się w rękach księży (zwyczajny pretekst). W tę niedzielę pod koniec Mszy św., odnosząc się do tego, co wydarzyło się w sobotnią noc, ksiądz Jan zwrócił uwagę młodym i zaapelował o roztropność, aby „nie dolewać oliwy do ognia”. Czy jednak to ostrzeżenie zostało przez nich zrozumiane?

Po Mszy św. około godz. 11.00 rada parafialna, troszcząc się o swego proboszcza i podejmując działania zapobiegające nasilającemu się niebezpieczeństwu, zwołała nadzwyczajne zebranie pod pajątem parafialnym, stojącym 20 metrów od plebanii. Aby ustrzec nas przed groźącym niebezpieczeństwem, poproszono księdza Jana i mnie, byśmy oddalili się od parafii. Ja osobiście poparłem propozycję członków rady parafialnej (Tata Kibabou, Mama Lamission i Mama Luise). Ksiądz Jan odmówił ich prośbie, uzasadniając swoją decyzję troską o wiernych, których nie chciał opuszczać. Powiedział: „Jeżeli opuszczę Loulombo, chrześcijanie również uciekną. Lepiej zostać i umrzeć wśród moich parafian”.

Tego samego dnia o godz. 15.00 szef wioski Anatol Milandou i szef policji Emmanuel zwołali kolejne pilne zebranie. Potępiono wtedy bandycki napad z 24 października. Ksiądz Jan był zaproszony jako wiceprzewodniczący komitetu rozbrojeniowego. Niektórzy młodzi zostali ukarani grzywną w wysokości 30 tysięcy franków CFA, inni, pochodzący z dawnego Zairu, byli zmuszeni opuścić wioskę. Młodzi jednak sprzeciwili się tym decyzjom i uporczywie powracali do tematu broni, która według nich miała być przechowywana na plebanii.

Poniedziałek, 26 października 1998 r.

Oficer policji bez powiadomienia proboszcza i siostry Ancilii, którzy byli jego bliskimi współpracownikami, znowu uciekł z wioski. Zrobił to jednak w celu odprowadzenia swej żony z dziećmi do miasta, po czym miał wrócić. Niestety, tę sytuację młodzi odczytali jako potwierdzenie ich tezy dotyczącej pogłosek o rzekomym zdeponowaniu broni na plebanii. Około północy włamali się do budynku policji i zdewastowali go. Szukali broni, lecz na próżno. Według ostatniego świadectwa wobec mnie, oficer zapewnił, że na plebanii nie było żadnej broni, a swoją ukrył w miejscu tylko jemu wiadomym.

Wtorek, 27 października 1998 r.

Rankiem sytuacja stała się jeszcze bardziej niespokojna. Poprosiliśmy księdza Jana, aby opuścił wioskę, ale znowu na próżno. Po obiedzie, około 12.45 pojawiła się w parafii pierwsza grupa „Nindza” (wojsko obalonego prezydenta – przyp. tł.). Było to 15 brudnych mężczyzn. Kazali nam oddać broń, którą według nich mieliśmy ukryć na plebanii. W naszej

obecności, podczas gdy siostry były u siebie, przeszukali cały dom, ale oczywiście nic nie znaleźli. Ja przyłączyłem się do księdza Jana, nie chcąc go zostawiać samego. Oni, zauważając jednak po trosze naszą niewinność, poprosili o coś do zjedzenia. Wtedy pojawiła się druga grupa, która swoim zachowaniem zaprzeczyła stosunkowo łagodnemu traktowaniu nas przez pierwszych napastników. Na nowo próbowali nam grozić, aby zmusić nas do oddania broni. Kiedy między księdzem Janem a bandytami i mną doszło do wymiany zdań, ksiądz, stojąc blisko na wprost jednego z nich, powiedział głośno: „Nie przybyłem do Konga, aby zachęcać do wojny, ale do pokoju”.

Te słowa jednak nie przekonały atakujących. Co więcej, jeden z nich zareagował potrójną groźbą, że będzie strzelał: „Na ku kubula”. Wtedy ksiądz Jan odpowiedział: „Możesz do mnie strzelać, ale ja nic nie wiem o broni, której szukacie”. Na to bandyta oddał dwa strzały w okolice prawego biodra. Ksiądz Jan upadł bez słowa, wydając tylko ostatnie tchnienie. Następnie bandyci skierowali broń w moim kierunku, grożąc mi przez dziesięć minut. Dopiero krzyk młodego chłopca wybawił mnie z opresji.

Po zamordowaniu Księdza, kiedy jego ciało leżało na ziemi, w obecności siostry Ancilli bandyci wspomnieli, że nasz biskup zdołał uciec i schronić się przed ich nienawiścią. W obecności sióstr Ancilli, Armendine i Laurette jeden z nich tak się wyraził: „Nie udało nam się zabić waszego biskupa, miał szczęście, że go nie było. Zagrabiliśmy jednak złotą książkę, którą posiadał”. Tym zdaniem jakby chcieli trochę usprawiedliwić swoją winę. Zdali sobie bowiem sprawę z okrucieństwa aktu, którego przed chwilą dokonali. Jednak mając świadomość, że to, co się wydarzyło, jest nieodwracalne, nie mogli mieć nic na swoją obronę. Doszło też do nieporozumienia między nimi. (...) Jeden z nich powiedział nawet: „To mi odbiera odwagę i powoduje duchową ruinę, nie zostaliśmy bowiem posłani, aby zabijać ludzi, ale zdobywać broń”. Trzeba też zauważyć, że śmierć księdza wybawiła wszystkie siostry i mnie, gdyż napełniła bandytów strachem, który spowodował ich odejście.

Po tym bestialskim czynie bandyci zabrali samochód parafialny, zagrozili siostrom zakonnym i odjechali. Po ich wyjeździe zatroszczyliśmy się o ciało naszego proboszcza. (...) Wraz z chrześcijanami dokonaliśmy konserwacji ciała formaliną, którą otrzymaliśmy od siostry Ancilli, i złożyliśmy je w moim pokoju. Dla bezpieczeństwa poleciliśmy parafianom pozostać w swoich domach, ja zaś udałem się do pewnej rodziny, która mieszkała 800 m od plebanii. Pozostając u niej, wraz z radą parafialną organizowaliśmy pogrzeb księdza Jana.

Gdy tylko mieszkańcy Loulombo dowiedzieli się o śmierci księdza Jana, wszyscy go oplakiwali. Śmierć ta potwierdziła zagrożenia i brak bezpieczeństwa. Ludzie zaczęli uciekać, zdecydowanie potępiając dokonany akt, który przyniósł niepewność i obawy odnośnie przyszłego życia wioski.

Sam dużo płakałem. Tak jak oplakiwali chrześcijanie ks. Soudana (Holender, były proboszcz w Loulombo, który przez władze polityczne był zmuszony do opuszczenia misji – przyp. tł.), tak płakali i płaczą nad śmiercią księdza Jana. Wśród mieszkańców Loulombo słychać było krzyki: „Nasza wioska jest przeklęta, wygoniliśmy ks. Soudana, dzisiaj zabiliśmy księdza Jana, to straszne”. Większość ludzi uciekła dopiero po pogrzebie księdza, a więc 28 października 1998 roku.

Środa, 28 października 1998 r.

Gdybyśmy odciągali pogrzeb księdza, jego ciało podzieliłoby los innych i padłoby ofiarą zwierząt mięsożernych. (...) Ciało księdza Jana od momentu śmierci do pogrzebu przebywało w rękach chrześcijan, którzy starannie je umyli. Ja dałem swoje spodnie khaki, ludzie z wioski przynieśli białą marynarkę. Następnie ubrano mu albę i białą stulę. Tak został złożony w trumnie, zakupionej przez parafian. Wszystko to odbywało się beze mnie, gdyż się ukrywałem.

Ponieważ trumna została zrobiona na ostatnią chwilę, o godz. 17.15 odprawiliśmy tylko egzekwie według rytuału. Na początku miała miejsce tradycyjna ceremonia prześcieradła (rzucanie prześcieradła do grobu na znak żałoby i solidarności ze zmarłym – przyp. t.) przy zapalanej świecy i w obecności krzyża. Ludzie byli bardzo skupieni, a ich modlitwie akompaniował płacz i jęk. Ze względu na atmosferę, jaka panowała w wiosce, trzeba było zakończyć pogrzeb przed zapadnięciem zmroku. Nie było więc wtedy Mszy św., a cały ryt pogrzebowy miał miejsce nie w kościele, ale w pajocie. W pogrzebie uczestniczyło wielu ludzi. (...) Ksiądz Jan został pogrzebany jak każdy kapłan. Na miejsce wiecznego spoczynku przenieśli ciało księdza parafianie Loulombo. Do dzisiejszego dnia chrześcijanie czuwają przy grobie księdza, ich ojca.

Ksiądz Jan wybudował w pobliżu kościoła grotę. Stoi ona blisko ołtarza. Ciało pochowaliśmy między grotą a ołtarzem, chcąc w ten sposób uhonorować dzieło księdza Jana. Chcieliśmy również, aby każdy, kto będzie przychodził modlić się do grotki, przypomniał sobie historię śmierci księdza. Nie mogliśmy ciała pochować w kościele, bo czas na przygotowanie wszystkiego był za krótki.

Czwartek, 29 października 1998 r.

Podczas zebrania rady parafialnej ustalono sposób zabezpieczenia dóbr parafii. Około godz. 9.30 weszła do wioski regularna armia, wspomagana przez żołnierzy angolskich. Ludność na jej widok zareagowała paniką, która zakończyła się ucieczką we wszystkich kierunkach.

Siostra Ancilla, Holenderka, i inne siostry ze wspólnoty, udały się w kierunku Demokratycznej Republiki Konga (dawny Zair – przyp. t.). Po naszym odejściu wszystkie dobra parafii zostały zrabowane. Ja udałem się również do Demokratycznej Republiki Konga, a konkretnie do Miyamba i Manguembo. W tej ostatniej spędziłem prawie rok, po czym przybyłem do Brazzaville 20 września 1999 roku.

Taka decyzja spowodowana była trzema racjami. Po pierwsze, kiedy uciekliśmy z Loulombo, nie miałem żadnych wiadomości o rodzicach. Podczas bowiem bombardowania wioski przez grupę Angolczyków wszyscy mieszkańcy uciekli, każdy w swoją stronę. Ponieważ mój ojciec był sparaliżowany, chciałem się dowiedzieć, gdzie przebywa. Z Demokratycznej Republiki Konga dostęp do Brazzaville był możliwy, chociaż po tygodniu droga została zamknięta z powodu walki między „Nindza” a armią rządową. Drugim powodem był szok, który przeżywałem, mając ciągle przed oczami leżące ciało konfratra. Jeden z lekarzy zalecił mi długi wypoczynek. Po trzecie, z tego miejsca mogłem dopilnować sprawy grobu księdza. Stamtąd dawałem polecenia Martinowi, młodzieńcowi, którego ksiądz bardzo lubił, aby grób nie został naruszony.

Śmierć księdza Jana jest śmiercią niewinną. Naprawdę, oddał swoje życie za pokój w naszym kraju. Możemy go zaliczyć do męczenników, którzy zginęli w obronie pokoju w Republice Konga. Jego śmierć odzwierciedla śmierć samego Chrystusa, który ofiarował swe życie za przyjaciół. Nasza parafia straciła księdza, który kochał swoich parafian i który ukochał Loulombo jak kraj swego pochodzenia, Polskę. Niestety, śmierć przyszła do niego za wcześnie. Pozostawia ona niezatarty znak dla chrześcijan w Loulombo i dla całej okolicy, w której głosił Ewangelię.

Niech odpoczywa w pokoju.

Ks. Bernard Yindoula
ksiądz diecezji Kinkala
Brazzaville, 8 stycznia 2000 r.

Siostra Ancilla Huijbers, przełożona wspólnoty sióstr w Loulombo, w czasie tragicznego wydarzenia przebywała z siostrami w domu, położonym kilkadziesiąt metrów od plebanii. Choć nie była naocznym świadkiem zbrodni, na jej miejsce przybyła zaraz po śmierci księdza Jana. Relacja 68-letniej s. Ancilli nawiązuje do okoliczności i śmierci księdza Jana, jak i do jej ucieczki w kierunku Kinszasy.

W ten dzień, 27 października 1998 r., grupa „Nindza” (prywatne wojsko pierwszego ministra w rządzie byłego prezydenta Lissouby) wtargnęła na teren misji i weszła do domu, w którym przebywał ksiądz Jan. Szukali broni. Ksiądz im wyjaśnił: „Tutaj nie ma broni. My jesteśmy, aby głosić Dobrą Nowinę i pokój, a do tego nie potrzeba broni”. Weszli do pomieszczeń plebanii w celu kontroli i oczywiście nic nie znaleźli. Domagali się jedzenia. „Dobrze – odpowiedział ksiądz – przygotujemy coś do zjedzenia”. W czasie przygotowywania tego posiłku inna grupa wtargnęła na teren plebanii krzycząc: „Wydajcie nam broń, inaczej wszystkich was zabijemy”. Proboszcz odpowiedział spokojnie: „My nie mamy broni”. Oni zaczęli krzyczeć: „A więc strzelamy”. Pierwsza kula ugodziła księdza Jana w prawą nogę. Druga w brzuch i wtedy pokazało się dużo krwi. Ksiądz upadł na trawnik i zmarł. Ten fakt wywołał kłótnię i wymianę zdań między napastnikami.

Cała ta rozwścieczona, liczna grupa ludzi przybiegła do naszego domu zakonnego z tym samym żądaniem, broń oczywiście wymierzona była w naszą stronę. Byliśmy we trzy: Laurette, Armandine (Kongijki) i ja. Zachowałyśmy spokój i odmawiałyśmy w sercach modlitwy, pokładając całą nadzieję w Bogu.

W końcu odeszli, zabierając samochód i benzynę. Jeszcze krzyczeli: „Wrócimy tutaj, żeby was zabić, a także waszego biskupa w Kinkala” (stolica diecezji – przyp. tł.). Jeden z nich wyrwał z moich rąk różaniec, krzycząc: „Mogę cię zabić i twoje siostry też, tak jak zabiłem twojego brata”. Z mojej strony nie było odpowiedzi, tylko się modliłam. Nareszcie wsiedli z bronią do samochodu i odjechali. My natomiast pobiegłyśmy na plebanie, przy której na trawniku leżał ksiądz Jan, chcąc zrobić mu pochówek. Ale jeden ksiądz – Kongijczyk, który był u nas na wypoczynku i którego oni także chcieli zamordować, powiedział do mnie: „Uciekaj, bo oni tutaj powrócą. My pochowamy Księdza Proboszcza”. Było tam też kilku mężczyzn z terenu naszej parafii i oni również radzili nam, byśmy szybko uciekały. Tak więc uciekłyśmy z innymi mieszkańcami Loulombo w kierunku gór, które przemierzałyśmy pieszo, idąc w skwarze słonecznym.

S. Ancilla Huijbers
Boxmeer, marzec 1999 r.

Ks. Bogdan Piotrowski informował diecezję tarnowską o aktualnej wiedzy na temat śmierci księdza Jana i jej okoliczności. Pisał o tym m.in. w liście do ks. Krzysztofa Czermaka.

Brazzaville, 29 listopada 1998 r.

Szczęść Boże, Krzysztofie!

Jeszcze nie tak dawno byliśmy razem w Polsce, spotykaliśmy się, wspominając afrykańskie czasy, a teraz nagle jeden z nas jest już na Sądzie Pańskim. Wiadomość ta spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Choć prawdę mówiąc, to niebo nie było takie jasne. W regionie były walki; inni księża opuszczali misje, ponieważ byli atakowani. W dzień śmierci Jana rozmawialiśmy z nim przez CB radio około południa, było to 27 października 1998 r. O godz. 14.00 tego samego dnia już nie żył.

Dowiedzieliśmy się o jego śmierci po raz pierwszy dopiero w sobotę po południu przed Wszystkimi Świętymi. Jeden z katechistów usłyszał tę wiadomość z „la gare” (dworzec). Potem wiadomości dochodziły do nas często i były różne. Dopiero w poniedziałek wieczorem udało nam się uzyskać potwierdzenie przez księży z sąsiedniej parafii Jana. We wtorek przed południem zadzwoniliśmy do Biskupa Tarnowskiego. Natomiast we środę RFI (radio francuskie) podało tę wiadomość oficjalnie. Ale nie mieliśmy szczegółów. Trzeba było czekać na powrót sióstr, które uciekły z wioski po śmierci Jana. Do stolicy doszły 3 tygodnie później, przez sąsiedni kraj.

Ostateczna wersja śmierci Jana jest następująca: we wtorek około południa do jego wioski przyszli uzbrojeni bandyci, ci z naszego regionu, nie wojsko i zaczęli strzelać. Siostry poszły do siebie, czekając aż się to wszystko uspokoi. Około godz. 14.00 bandyci przyszli na misję (4 osoby) i zażądali broni. Jan nie miał broni, zatem zaczęli jej szukać po domu. Nic nie znaleźli, zabrali trochę pieniędzy i wyszli przed misję, by jeść owoce mango. Nagle przyszedł piąty z żądaniem wydania broni. W wypadku sprzeciwu zagroził śmiercią. Jan mu powiedział, że nie ma broni, więc go zastrzelili. Potem chcieli zabić drugiego (czarnego) księdza, ale się jakoś wybronił. Następnie zabrali samochód, grozili siostrą, chcieli zabić tę białą, ale zostawili je w spokoju. Po tym wszystkim siostry uciekły. Zwłoki Jana zakonserwowali formaliną, myśląc je przesłać do kostnicy, gdy będzie spokój. Ale wojsko weszło do wioski i strzelali do wszystkiego, co się ruszało. Musieli go więc pochować jak najszybciej i uciekać. Ciało owinęli w prześcieradła, zrobili jakąś trumnę i pochowali go za kościołem, koło grotty.

Na południu kraju nasze misje są zrabowane, samochody popalone, kościoły poniszczone itd. Wioski są spalone, ludzie ukrywają się w lesie. Nawet grupa mediacyjna, która pojechała w teren, później została z zimną krwią zastrzelona u ks. Łacnego w Mindouli na plebani. Było tam czterdzieści pięć zabitych osób! Nie wiem, dokąd ten kraj zmierza. Ks. Stanisław Łacny nie mógł po urlopie pojechać do siebie, więc jest na razie ze mną. Jak dotąd, nie widać jakiegoś wyjścia z tej sytuacji.

Krzysztof! To jest ostateczna wersja śmierci Jana. Rozmawialiśmy z siostrami z Loulombo. Posyłam Ci negatywy z Mszy św. żałobnej za Jana u mnie na Plateau des 15 ans.

Na nadchodzące Święta i Nowy Rok życzę Ci obfitości łask Bożych i wszelkiej pomyślności.

Bogdan

„NIECH ICH ŚWIADECTWO NIE BĘDZIE ZAPOMNIANE”

W 1998 r. papież Jan Paweł II wezwał Kościół do doceniania przelanej męczeńskiej krwi: „Świadectwem prawdy chrześcijańskiej miłości – zawsze czytelnym, dziś jednak szczególnie wymownym – jest pamięć o męczennikach. Niech ich świadectwo nie będzie zapomniane” (13). Jako Kościół tarnowski, bogaty w czworo misjonarzy męczenników, wśród których jest ks. Jan jako pieczęć położona na pięćdziesięcioletniej posłudze misjonarzy tarnowskich w Kongu, winniśmy pytać o tę „pamięć” w naszych wspólnotach.

Cieszymy się, że jego imię przyjął Zespół Szkół w Słotowej, Dom Formacji Misyjnej w Czchowie, Tarnowski Wolontariat Misyjny, Sala Misyjna w seminarium tarnowskim czy dom katechetyczny i ulica w Bobowej.

Podobną radość mamy z faktu, że postać ks. Jana Czuby widnieje na witrażach w parafiach: pw. Matki Teresy Ledóchowskiej w Muszynie i pw. Przemienienia Pańskiego w Koszycach Wielkich, a także na szlaku drogi krzyżowej przy sanktuarium w Pasierbcu.

Podejmowane są regularne wydarzenia czy doraźne inicjatywy, które przywołują postać ks. Jana. Wierni gromadzą się od ponad dwudziestu lat w październiku na Diecezjalnym Spotkaniu Misyjnym Róż Żywego Różańca, obchodząc kolejną rocznicę śmierci naszego męczennika. W rodzinnej parafii w Słotowej są miesięcznice i nowenna zorganizowane w perspektywie 25.

rocznicy męczeńskiej śmierci i modlitwy o beatyfikację. W Bobowej obchodzono „Rok ks. Jana Czuby”, przygotowując się do 20. rocznicy jego śmierci. W tej samej parafii powstała grupa duszpasterska i róża różańcowa im. ks. Jana Czuby składająca się z wychowanków i parafian.